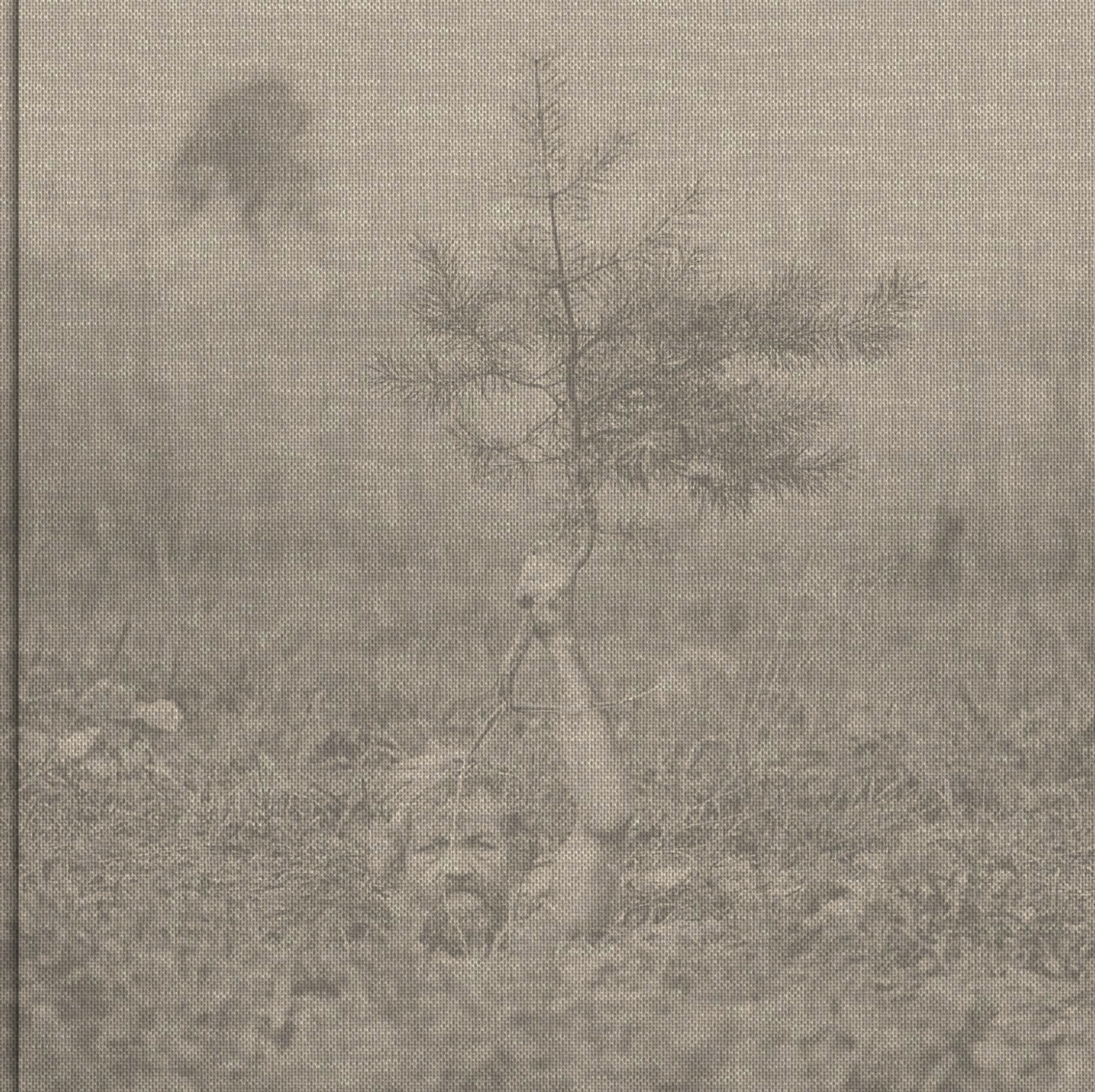




Adam Pańczuk

KARCZEBY

TEKST

Kazimierz Kusznirow

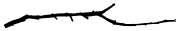


Powtarzano porzekadło ludowe, że co komu naznaczone, to na drodze.

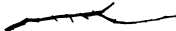




Ojciec był starszy od matki o jedenaście lat. Mieszkał po sąsiedzku. Rozmawiali ze sobą ot tak, szczególnie przy studni. Widział ze swego domu przez okno, jak matka ciągała wodę dla krowy i koni. Wychodził, pomagał, rozmawiali, ale tak o byle czym. Na wieczorki nigdy nie przychodził. W marcu 1939 roku, po ogłoszeniu mobilizacji, poszedł do wojska. Odchodząc, zaproponował matce na przechowanie rower. Nikt wtedy we wsi nie miał roweru. Tłumaczył, że brata dzieci będą ciągały i zepsują: „Jak będzie wojna i powrócę, to coś zapłacę za przechowanie, a jak zginę to będziesz miała pamiątkę po mnie”. Matka się bardzo ucieszyła i mówiła, lepiej żeby nie wracał, to będzie miała rower. Cały dzień uczyła się jeździć, a pod wieczór patrzy, ojciec idzie polną ścieżką do domu. „O masz, już po rowerze!” Zaczęła się wojna. Niemcy zlecili sołtysom wyznaczyć chłopców i dziewczyny na wywózkę na roboty do Niemiec. Ojciec wystął swata do matki i tak przed strachem wywózki matka przyjęła oświadczyń i w listopadzie wzięli ślub.



Nie było wtedy zwyczaju uroczystych chrztów jak dzisiaj. Dziecko do chrztu wieźli w zwykły dzień bez uzgodnienia sami chrzestni, bez rodziców. A byli to młodzi chłopak i dziewczyna, nie zastali księdza, bo pojechał do chorego z sakramentami, więc organista kazał czekać. A że im się nudziło, to poszli do gospody i coś tam wypili. Przy chrzcie zapomnieli, jak mam się nazywać. Bo matka z ojcem wymyślili rzadko spotykane imię Hieronim Teodor. Więc pomyśleli, że matka Kazimiera, to będzie Kazimierz. No i dobrze, bo mi te imiona wcale się nie podobały. Pytałem matkę, jak byście mnie nazywali: Heronek? Teodzio? A rodzeństwo się śmiało: Heronek-ogonek albo Tońdzio-końdzio. Dziadek Jan zawsze mówił, że będę jak król Kazimierz Wielki i opowiadał mi historię o królu dobrym dla chłopów. Byłem z tego bardzo dumny i tym chwaliłem się dzieciom. A dzieci na przekór się śmiały i mówiły: „Kazimierz Wielki wlaź do butelki, najadł się gruszek, pęktł jemu brzuszek”. Ale to mnie nie wzruszało, ważne było, co dziadek Jan powiedział.

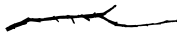


Wszystko u dziadka Jana mi się podobało. Z jednej strony ulicy stał bardzo duży drewniany dom, kryty był chyba gontem, z gankiem, okiennicami niebieskimi, od strony przeciwnej z werandą oszkloną. Miał ogromną kuchnię, w której była żelazna pompa na wodę, duży stół, wielkie krzesła z poręczami zdobionymi w kwiaty, co świadczyło o bogactwie, bo u nas był stół zbity z desek i zwykłe stołki. Za domem w kierunku rzeki był sad, ogrody, za sadem ogromna lipa i jesion, pod którymi rosło mnóstwo fiołków. Tam dziadek pozwalał mi się bawić resztkami zbitych talerzy, butelkami, zużytymi kubkami, lepić babki z piasku. W innym miejscu miałem zakaz, żeby nie robić bałaganu. W sadzie dziadka był włoski orzech i czereśnia. U nikogo wtedy we wsi takich drzew owocowych nie było, no i pasieka pszczół. Po drugiej stronie ulicy było ogromne podwórze z gospodarczymi budynkami: stodoły, spichlerz, obory, studnia z żurawiem. Uważałem, że to wszystko jest moje. Gdy miałem około trzech lat, wyprowadziliśmy się od dziadka Jana Derlukiewicza do własnego domu.





Już było nas siedmioro. Pamiętam, często wieczorami, szczególnie w zimę, gnieździłiśmy się w jednym pokoju. Przy kolacji matce zdarzało się zapomnieć podać tyle łyżek, ile potrzeba. Wszyscy chwyтали szybko łyżki, dla mnie brakowało. Dawniej często w czasie posiłków w domu były obecne starsze kobiety, szczególnie jedna z sąsiadek zawsze obserwowała. Patrzyła, jak kto je i określała, jaki będzie z niego robotnik, ustalała cechy charakteru. Mówiła: „Kto szybko je, to znaczy, że jest prędkii” albo „Jak niedbale siorbie lub połyka jedzenie jak bocian żabę, to jest cham”. A matce zwróciła uwagę, bo zauważyła, że mi często brakuje łyżki: „Ty niebożę nie zapominaj, bo to będzie znak, że on będzie samotny i nie będzie komu podać mu łyżki, będzie musiał się troszczyć o wszystko sam”. I tak sprawdziły się jej przepowiednie.



Jak matka miała dziewiętnaście lat, dostała łuszczycy. To jest tak, że skóra rogowacieje i pęka, i żywe rany. Jeździła z tym nawet do Warszawy. Ale jedyne, co jej dał lekarz, to jakąś maść, żeby nie swędziało, bo matka choćby nie chciała, drapała. Choroba uchodziła za nieuleczalną – gdzie chodziła, nikt nie wyleczy. Więc do znachora pojechała. Powiedział, że to ktoś narzucił: „I tyś szła przez wodę i tego nabrała”. I matka mówi, że tak było. Po deszczu było, matka za bagnem gdzieś tam miała brukiew i szła brukiew okopywała, miała brudne nogi i na bagnie, w kałuży wzięła te nogi optukała. I zaczęło swędzieć. Znachor mówi: „Tobie ktoś narzucił, ty musisz odrzucić, musisz pójść na bystrą wodę”. Matka: „Gdzie te bystre wody? W Lubence nie ma”. „Znajdziesz, tam jest zastawka, takie stopnie, co woda szybko bierze”. Kazał narwać łopuchu, wirków takich, co się czepiają, i dał popiołu. „I to masz wszystko nagotować i ze smalcem wymieszać, nogi tym nacierać i pójść na tę bystrą wodę, to z wodą pójdzie”. Matka nie bardzo wierzyła w te czwiry, zabobony. A baby mówiły: „Toż smaruj, jak ci tak mówił”. Matka wierzyła, nie wierzyła, już zrobiła tę maść. Smalec, ugotowała tych koluchów i wymieszała z popiołem, co on dał. Smarowała, ale samo nie pomagało. Aż szła siano obracać i wtedy w tym stopniu, mówi, patrz, ta woda. Nogi wsadziła, wypłukało, wymyło i od tamtej pory przeszło. On jej nie powiedział, co to był za popiół, a podobno trzeba jeża zabić i kolce spalić. I tym popiołem smarować.

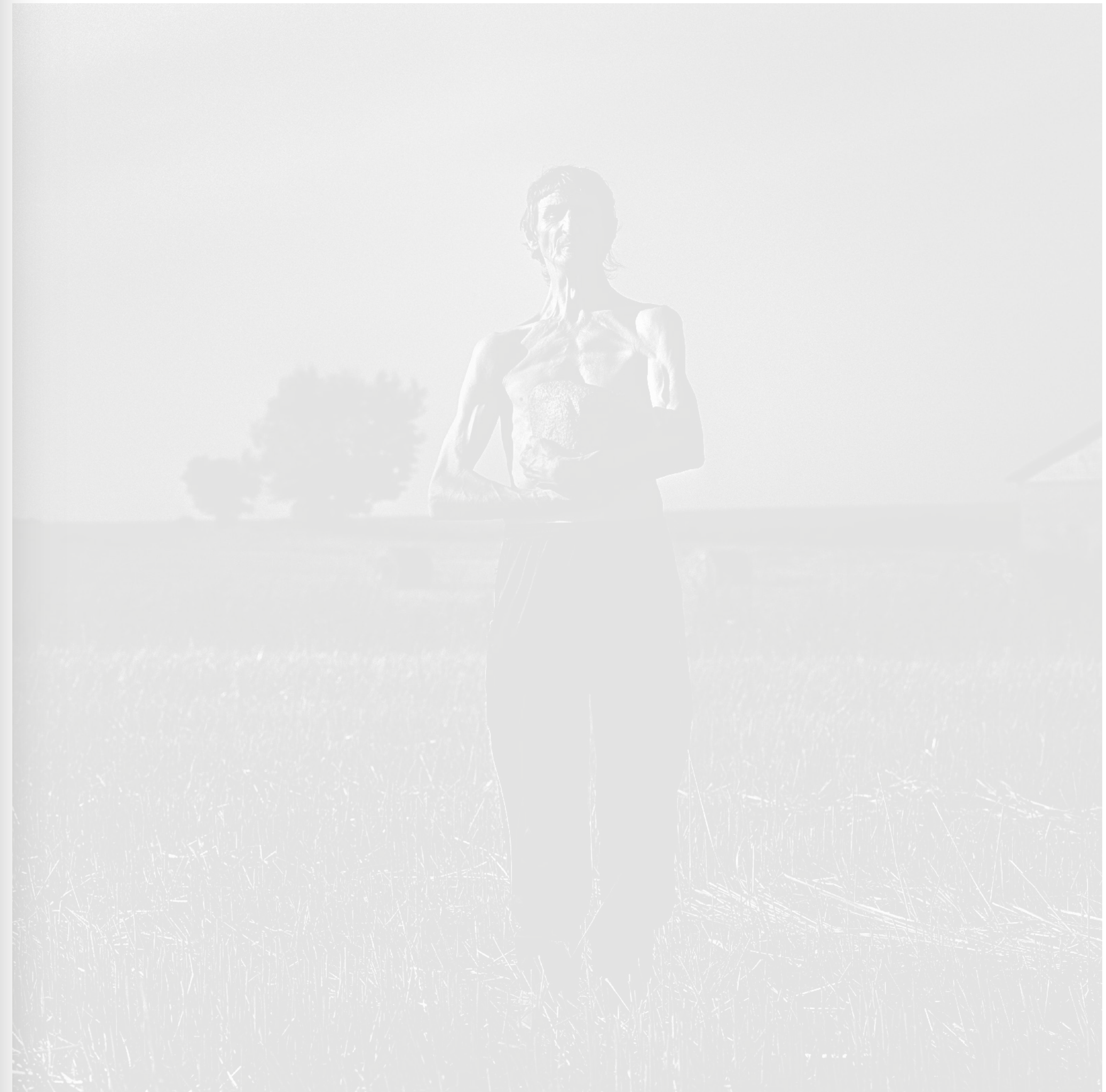




Ojciec, jako muzykant wiejski często był tylko gościem w domu. Wtedy słabe jeszcze były środki komunikacji. Szedł nieraz pieszo z wesela na wesele. Pamiętam, jak czekaliśmy na powrót taty, bo coś tam zawsze przynosił, często ciastka w kieszeni pokruszone, wymieszane z machorką z papierosów i to, choć gorzkie było, zjadaliśmy zaraz. Po jego powrocie schodzili się wieczorami sąsiedzi i wypytywali ojca, jakie było wesele, czy para młoda była ładna? Zazwyczaj ojciec odpowiadał: „A czort ich tam wie, ja się na nich nie patrzałem, myślałem tylko o mojej Kazi, bo tylko ona dla mnie ładna”. Ale powoli dawał się nakręcić i opowiadał, jak na przykład para młoda jechała do kościoła. Pan młody kazał zatrzymać konie, zeskokczył z wozu i pobiegł w las. Wszyscy myśleli, że za swoją potrzebą, ale nie wracał długo. Panna młoda wiedziała, że żeni się z nią z przymusu, zaczęła płakać i kazała go szukać. Zobaczyli go już za lasiem. Wyruszyli w pościg. Ojciec widząc, że on ucieka i się ogląda, przykląkł na kolanie, klarnet przymierzył do oka i krzyknął: „Paf! Paf! Stój, bo strzelam!”. On myślał, że to karabin i upadł. Na siłę zawieźli go utaplanego w błocie do ślubu.

Mojej matki stryj brał ślub w ukryciu, w lesie, w czasie prześladowań unitów. W umówione miejsce pod osłoną nocy przywieźli dziewczynę i przy blasku świecy ksiądz udzielił ślubu. Rano okazało się, że ślub wziął nie z tą, co chciał, tylko z siostrą bardzo podobną, ale po chorobie Heinego-Medina, z poskręcanyimi stawami w rękach i nogach, z kaleką i niedorozwiniętą. Został oszukany. Ślub był uważany za świętość. Pozostał z nią, uważając, że taka była wola boża. Niewiele słyszało się o małżeństwach z miłości obojga młodych do siebie, a jeśli takie były, to nieszczęśliwe.







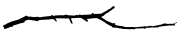
Babka, bo tak ją nazywałem, była matką mego chrzestnego, nazywano ją Staszycha po mężu Stanisławie. Babka Staszycha z natury była skąpa, choć o sobie mówiła, że jest oszczędna. Jak nalewała olej w szklankę, gdy zaszedłem pożyczyc, i jej się rozlał na podłogę, to uklękała, zliżała językiem, a resztę chlebem wytarła i zjadła, nic się u niej nie mogło zmarnować. Babka miała czterech synów, bardzo urodziwych, przystojnych. Mówiła im, że jak dorosną i same się oporządzą, o siebie zadbają, to złoto nawet w popiele błyszczy. Znajdą z hektarami sobie ba-by, bo jak kto komu miły, to i z dupy pachnie. Bardzo lubiłem powiedzenia babki. Jak parafianie kupili karawan do wożenia zmarłych na cmentarz, to opowiadała taką historię: „Zmarła babcia, trumnę wstawili na karawan, a wnuczek płacze, lamentuje w niebogłosy i nie chce iść w kondukcie żałobnym, matka go pociesza: «Nie płacz. Babka już jest w niebie na dobre», a wnuczek krzyczy: «Ja mam w dupie babcię, ja chcę karawanem jechać»”. I mówiła: „Ot jaki mały, a mądry, już nieboszczykowi wszystko jedno, czy wozem drabiniastym go wiozą czy karawanem, a to kosztuje i trzeba płacić”. Nie wiedziałem wtedy, że w przyszłości te wszystkie babci filozofie bardzo mi się przydadzą do opracowania scenariuszy teatru obrzędowego.







Pamiętam jak było wielkie wydarzenie – Gagarin poleciał w kosmos. Pani w szkole włączyła radio i słuchaliśmy tego doniosłego wydarzenia. Nie wiedzieliśmy, co to jest kosmos. Ktoś z dzieci zapytał, to usłyszeliśmy: „Kosmos to jest kosmos, w powietrze durniu poleciał”. Jakoś mi to nie pasowało, po cichu zapytałem kolegę: „Czy wiesz, co to jest?”. A on mi odpowiedział: „Nie wiem, ale wydaje mi się, że w gówno poleciał, a to brzydkie słowo i pani nie chce powiedzieć”. Zacząłem się bardzo śmiać, no bo co to za wydarzenie, że człowiek w gówno wleciał. Nie chciałem pani powiedzieć, z czego się śmieję i bardzo dostałem linią w łapę, aż mi spuchła, nie powiedziałem, bo się wstydziłem. Albo inne zdarzenie, jak zostałem wywołany do mapy. Miałem pokazać, gdzie leży Warszawa. Było to w drugiej klasie szkoły podstawowej. Geografii się jeszcze nie uczyliśmy. Pani nie wyjaśniła, że trzeba określić położenie miasta, więc palcem wskazałem na mapie. Nie wiedziałem przecież, jak się pisze Warszawa. Mówiliśmy bardzo niepoprawną polszczyzną w mojej wsi, jeszcze starsi mówili gwarowo, tak zwanym językiem chachłackim. Odpowiedziałem: „Tut”. A pani w śmiech i mówi: „Tru tu tu tut”, a to dlatego, że mój ojciec grał na klarnecie.



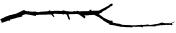
Po szkole podstawowej pracowałem z matką na gospodarce i od czasu do czasu chodziłem pomagać sąsiadom w młócce, przy żniwach i innych pracach. Rzadko za pieniądze, ot ktoś dał kawałek słoniny, trochę mąki, albo i za dziękuję. Bardzo mi się spodobało powiedzenie bliskiego sąsiada. Nazywano go Głupi Manik. Pomagałem przy młócce jego brata. Manik siedział pod stodółą, kiwał się do tyłu, do przodu, śpiewał, co mu do głowy przyszło. Nagle, śpiewając „Kiedy ranne wstają zorze”, zaczął po każdej zwrotce przeklinać „kurwa go mać”. Rozśmieszało to, choć nie było się z czego śmiać. Po skończonej młócce, wszystkim, którzy pomagali, matka Manika dziękowała. „Bóg zapłać, Bóg zapłać wam”, mówiła, a Manik na całe gardło: „Bóg zapłać za cholerną młóckę!”. Wszyscy się śmieli i mówili: „Ot, choć głupi, ale ile mądrości w jego głupocie”. Młócka do przyjemności nie należała – okurzeni, zmęczeni, ale trzeba było wzajemnie sobie pomagać.



Pamiętam, przyjechał student z Lublina, który zbierał materiały do, jak się nie mylę, audycji radiowej „Tropami ludzi i pieśni”. Chciał, żebyśmy mu znalazł ludzi, którzy znają stare ludowe pieśni, legendy i opowieści. A on przyjedzie z magnetofonem i będzie nagrywał. Wtedy jeszcze nie widziałem magnetofonu. Byłem bardzo ciekawy, co to za sprzęt. Wtedy adapter był wielkim odkryciem, pocztówka kręci się i gra, ale żeby nagrał mój głos, to było coś niezwykłego. Czekałem na niego, jakby to jakieś UFO miało z nieba zlecieć. Przyjechał zimą z magnetofonem szpulowym. Matka zawołała swoją koleżankę. Nagrał kilka legend, piosenki, które śpiewały na dwa głosy tak, że zastał go wieczór, a jeszcze matka umówione miała dwie panie, które pięknie śpiewały w języku chachłackim. Poszedłem z nim do nich, a one zaparły się, że nic nie pamiętają. Widziałem, jak podejrzliwie patrzyły na niego i magnetofon. Usilnie namawialiśmy. Mówiłem: „Kowaleńczycho spiwajcie «Jak pień sołowiej» albo «Ne pyszy myły żałobnych łystów» czy «Tam w komorońci»”. Bez skutku, wciąż powtarzały: „Ne znaju, nyszczono pametaju, horło boli, odczepysia od mene”.

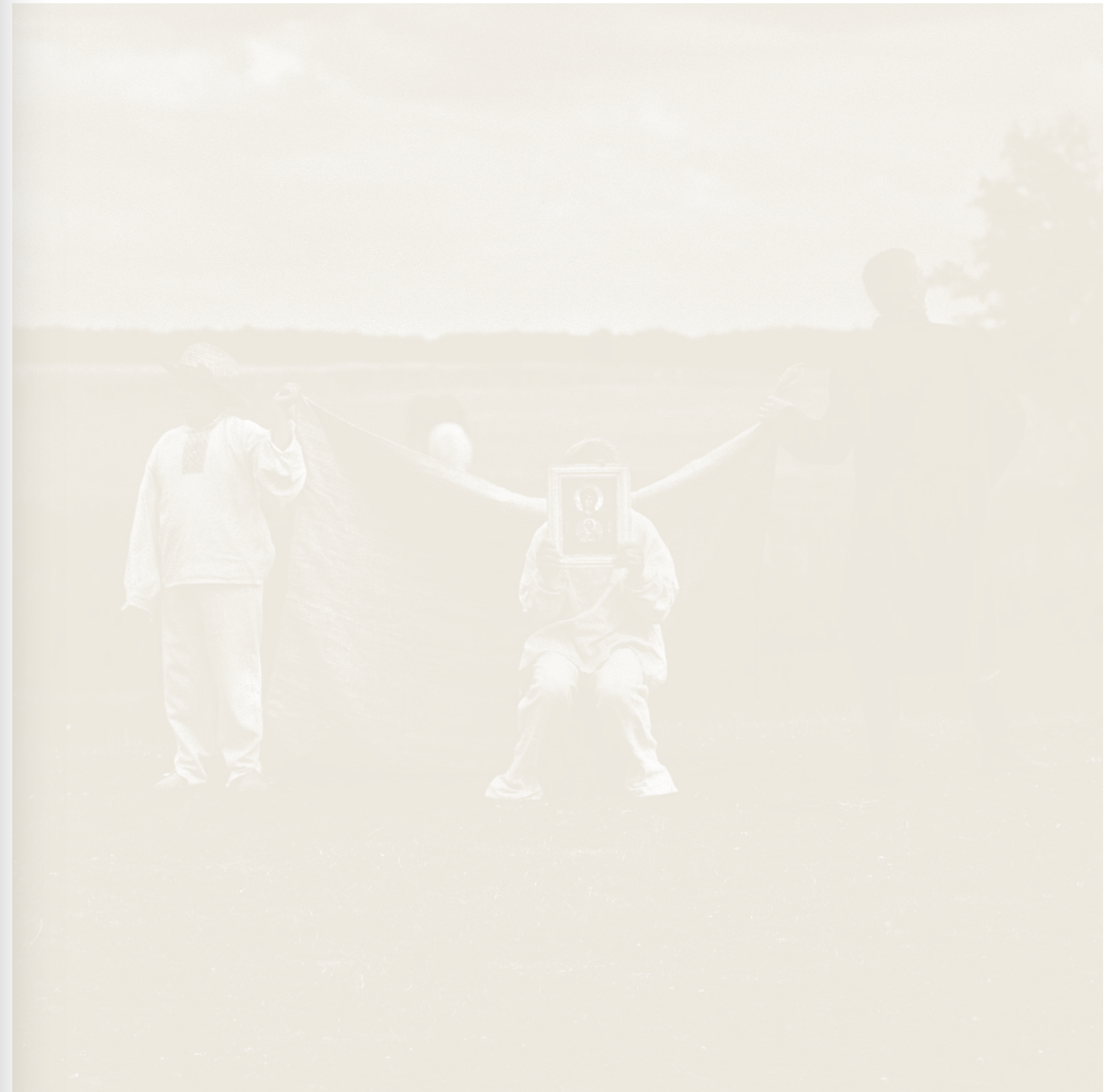
Nie udało się ich namówić. Wróciliśmy do domu z niczym. Chłopak musiał nocować. Za późno było do autobusu. Zaprowadziłem go do sąsiadów, którzy zgodzili się na przenocowanie gościa. U mnie nie było warunków. W pokoju, gdzie spała matka i siostry, nie było miejsca, a w pokoju, gdzie ja spałem, było bardzo zimno. Jak szedłem spać, matka, żeby ogrzać pierzynę, nalewała gorącą wodę do tak zwanego gumowego pęcherza. Często, jak w nocy wykopałem go nogami spod pierzyny, to rano był zamrożony. Nazajutrz poszedłem po niego. Już nie spał, rozmawiał z sąsiadami. Zauważyłem, że jest jakiś osowiały. Wyszliśmy, a on mnie pyta, co to za jakieś skoczki u nich w łóżku? „Całą noc nie spałem – mówi – dupę mam tak zrąbaną jak zastrzykami, kropki jak po ukłuciu igły i cętka dookoła czerwona. Wstawałem, zapalałem światło, to widziałem, jak spod pierzyny wyskakują jakieś czarne meszki i skaczą daleko”. Nie wiedział, że to pchły. Zrezygnował z nagrań w tym dniu. Powiedział, że przyjedzie ponownie, ale jak pozwolę, to woli spać ze mną w zimnym pokoju. („Jeśli u ciebie nie ma skoczków”). Oczywiście nie było, bo pchły lubią ciepło.

Poszła rano matka do Kowaleńczechów z awanturą, że obiecały chłopcu śpiewać i odmówiły, że tylko darmo czas stracił i pieniądze na bilet. A one na to: „A szczo my budem dla nioho spywaty, przyszow wystrojony jak bies, taki czort weliki, z kutasom na chołowi, jakujuś skrynku podstawiw, trubku do giemby powstawlaje i każe spiwaty. A poszow won do samoho Belzebuba! Neh won jomu spywaje, bo my to ne hoczem”. Jak mi matka opowiedziała, myślałem, że padnę ze śmiechu. Chłopak miał czapkę wełnianą z pomponem, ale wtedy na wsi, nikt w takiej nie chodził. Spodnie bikini, jakiś skafander, to uznali, że ubrany jak diabeł kusy. A kutas, wiadomo, co oznaczało.



Gdy ukończyłem osiemnaście lat, zaczępiłem się na dwa miesiące w Łomazach w Spółdzielni Ogrodniczej. To była taka spółdzielnia, że w okresie lata prowadziła skup ogórków, a w jesieni, do mrozów, skup ogórków kiszonych. Moim zadaniem było dolewanie rosołu do beczek, które przepuszczały sok, dobijanie obręczy w beczkach, znakowanie beczek, jeśli były odbierane, ładowanie do transportu. Często tak było, że kiedy szedłem do roboty i nie miałem co wziąć na kanapkę, tylko kilka placzków ziemniaczanych albo z rozczynu chlebowego, to cały dzień przeżyłem ogórkami kiszonymi. Pamiętam, pewnego dnia szedłem, nawet matka placzków nie upiekła, bo nie miała oleju ni żadnego tłuszczu. Cekał mnie dzień na samych ogórkach. Byłem w połowie drogi, przede mną szło kilka osób, dzieci do szkoły, ktoś po zakupy do sklepu czy w innej sprawie. Patrzę, obok ścieżki banknot dwudziestozłotowy. Nikt z nich nie mógł zgubić, bo był mokry od nocnej rosy. Chyba anieli z niebios zrzuć. Poszedłem do sklepu. Wystarczyło na bochenek chleba, jeden kilogram cukru i margarynę. Część zjadłem w pracy, resztę przyniosłem do domu matce i siostrze. A matka mówi: „Jak poszedłeś, modliłam się, jak ty cały dzień przepracujesz tylko o ogórkach i płakałam. Pewnie Bóg wysłuchał mego żalu”.

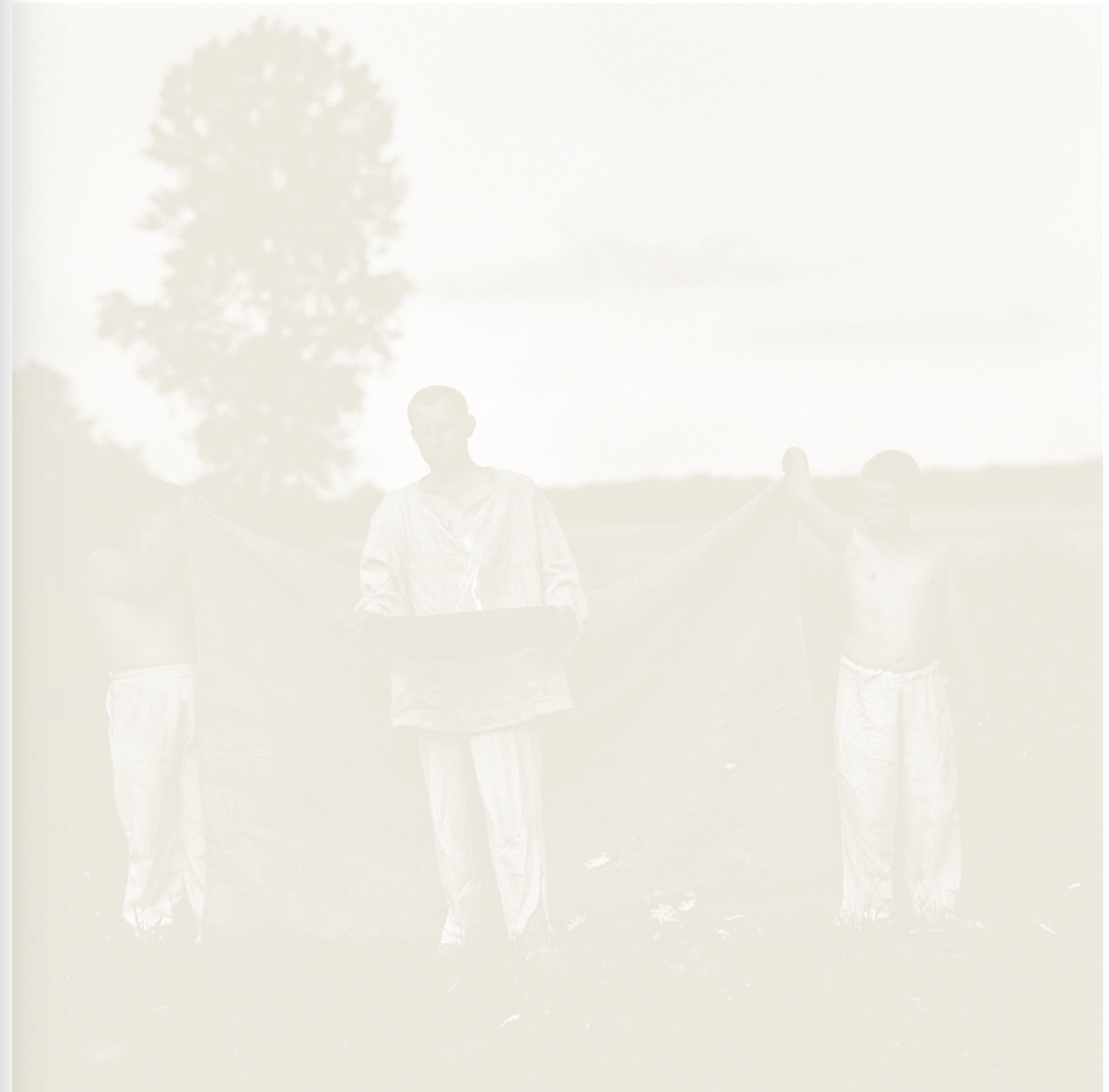




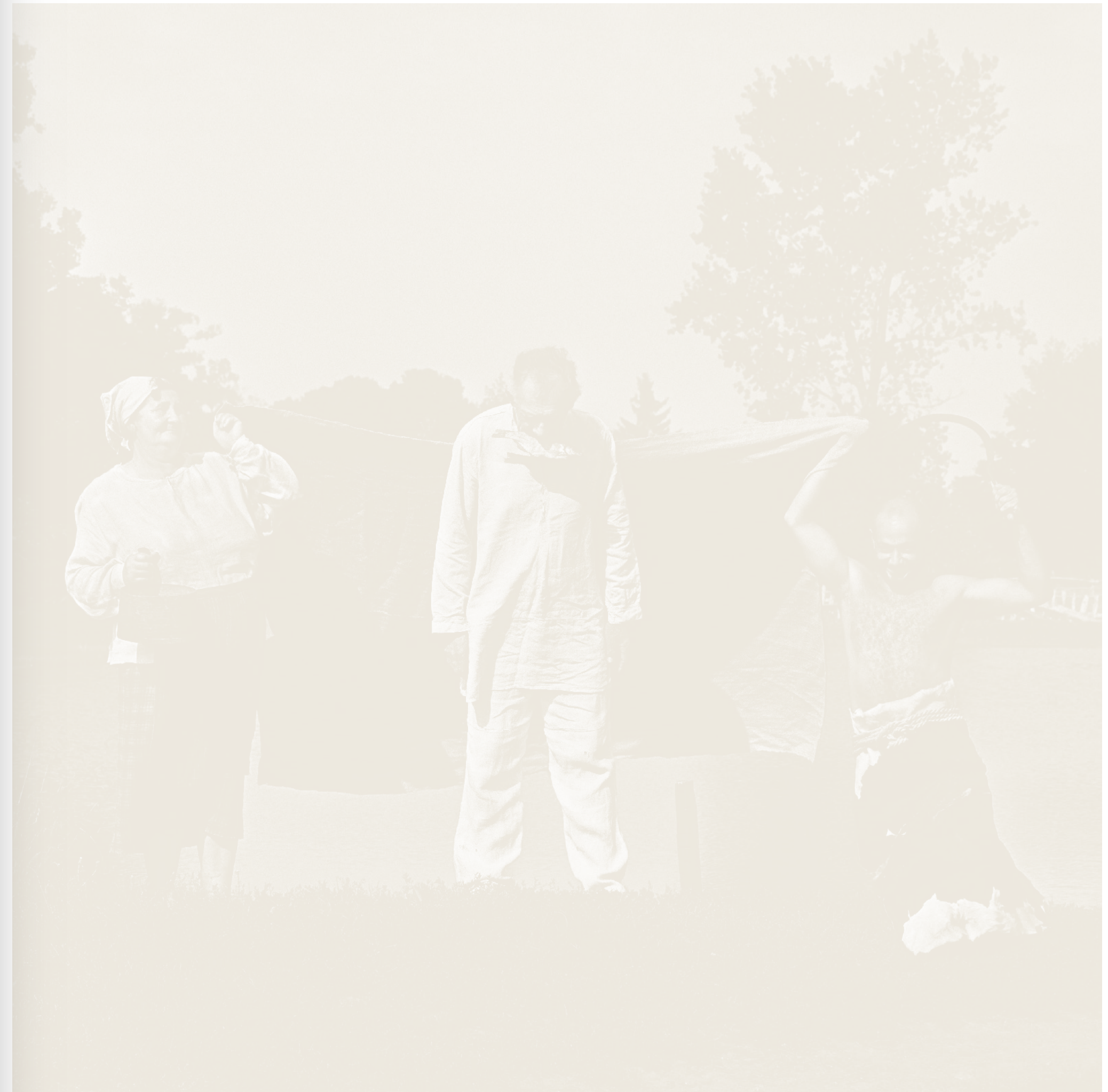










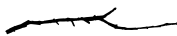


Nazywam się Kazimierz Kusznirow. Urodziłem się w Lubence 1 lipca 1950 roku w ubogiej rodzinie chłopskiej. Moją szkołą było życie: patrzenie, słuchanie, kierowanie się porzekadłami ludowymi. Tęsknota za światem uczciwym i bajecznie kolorowym zawiodła mnie do czasów dzieciństwa i ludzi prostych, żyjących dniem wczorajszym i dzisiejszym. W tym właśnie dostrzegłem teatr, którego wcześniej nie znałem.

Siedzę na polu swojego dziadka, Sidorowicza Leona, a te pole to jest posag mojej matki. Kiedyś, jak Lubenkę podzielili na kolonie, to każdy chłop miał dwadzieścia cztery zagony. To się nazywało kolonia. A później, ile dzieci mieli, tak te pola dzielili. Jeśli mieli czworo dzieci to te dwadzieścia cztery zagony dzielili na cztery, to wychodziło sześć zagonów. A dzielili zawsze od wschodu słońca na najstarszego, od między. Piętnastego sierpnia, co się kwiatka i kłosy święciło na Matki Boskiej Zielnej, to później się te kłosy brało, i jak się nowe żyto wysiewało, to wycierało się z nich ziarnka i na polu robiło się znak krzyża i siało się tymi ziarnkami i tę słomę się w to wtykało już na zasiewkę. Teraz też miałem to zrobić, i żem zapomniał.

Dziś, gdy opowiadam dzieciom swoje dzieciństwo i młodość, zazdroszczą mi pasienia krów z kolegami, pracy w polu, obrzędów i zwyczajów z tym związanych. Choć często głód dokuczał, nieraz myślę, że chciałbym czuć głód jak kiedyś i z apetytem zjeść, co w ręce wpadnie. W niewielkiej tylko części mogę im to pokazać, prowadząc teatr obrzędowy. W teatrze mamy cztery widowiska na cztery pory roku. Zima to „Herody” – jasełka i grupa kolędnicza. Z wiosną jest „Chodzenie z królowną”. Latem „Sobótka”. A na jesień, na zakończenie żniw, „Wereja”.

Chodzenie z królowną to wyglądało tak, że brali dziewczynkę, która nie była jeszcze u pierwszej komunii, bo uważali, że taka to jeszcze jest bez grzechu, i nosili albo na ręku, albo w krupkę. Dziewczyny się przebierały, szły w kapeluszach albo w czapkach, przybrane kwiatami, w sukmanach, i tak wszyscy razem obchodzili pola w całej wsi. Szli, niosąc tę dziewczynkę, i śpiewali. I tam, gdzie były wierzby spróchniałe, zatrzymywali się i pohukiwali, krzyczeli, żeby z tych dziupli spróchniałych przepędzić diabły i czarownice, żeby pól nie niszczyli. Brali śliwki suszone, jeśli przy tych wierzbach, i musieli pestkami pluć, żeby czarownicom zęby powybijać. I na granicach pól, gdzie są kopce w czterech rogach usypane, zatrzymywali się z tą królowną i śpiewali. Obejść całe pole, to schodziło dla nich cały dzień. Jak wracali, szli do najbogatszego gospodarza. Gospodarz robił przyjęcie, wynosił jedzenie, a jak byli dorośli chłopcy, to wódkę i polewał. Wołali jakiegoś grajka, grali, tańczyli. I już miało nie być burz, miał być urodzaj. Moi rodzice też chodzili, ale tak po kryjomu. Jak Jadźka, moja siostra, była mała, to na ręce ją nosili i niby tak o se szli pooglądać, czy w tym zbożu dobrze rośnie. Z czasem zanikły te zwyczaje.



Na koniec żniw zostawiało się pęk zboża niedorżnięty na polu na znak, że u tego gospodarza już jest żyto wykoszone. Bo żyto było najważniejsze, na chleb. I to się ubierało kwiatami. U góry te kłosy się związywało do kupy, wycierało się ziarnka z tych kłosów, wkładało nisko na ziemi trawę się wyrywało, tam te zieleń różne, co rosły, to się plewiło, ziemię się spulchniało, i te ziarnka z kłosów, co u góry rosły, zasiewało się. Trochę się brało tej już skoszonej słomy i się układało, jakby to płotkiem było ogrodzone. Całe się to kwiatami ubierało i przy tym tańczyli dookoła, śpiewali, żeby następnego roku plon był. Trochę kłosów zostawiało się, żeby ptaki miały zimą co jeść. Tak przynajmniej mówili, żeby ptaki z głodu nie poumierali i śpiewali na chwałę bożą. I gospodarze przynosili na pole, a jak dużo ludzi było, to do domu szli, przynosili wódkę, jedzenie, rozściełali obrus na ściernisku przy tej werei, no i uczta przy tym, i śpiewy, i tańce. Jedni kosili, drudzy wiązali. A te zbieraczki, baby, zbierały. I dzieci od razu chwyciły za duże grabie. Jak kłosy pozostały po zbożu, to je grabili i te zgrabki przywozili dla kur. A jak było tego więcej, to młócili. Potem trzeba było tę wereję obronować. Brali, łapali gospodarza podstępnie, i baby za nogi przewracały, i ciągały, a on rękami bronował. I przy tym go po dupie rękami okładały. A wszyscy krzyczeli, żeby miotły w zbożu nie było, żeby kąkoły, te chwasty, nie rosły. Pomagali jedni drugim, ludzie biedniejsi chodzili na zarobek do bogatszych. To się nazywało czeladź – służba. Od tego ja przyjąłem później nazwę teatru obrzędowego „Czelodońka”, taka mała grupka, co chodzi i pomaga.

Opowiadali, że miała baba małą dziewczynkę. Już była wdową i tylko tę jedną córkę miała, ale ona też umarła. I tak po niej rozpaczała, siedziała i żadnej pracy, tylko płakała. I w nocy, kiedy księżyc świecił, zobaczyła, że ona z cmentarza leci. Przyleciała pod okno i mówi: „Przestań płakać, bo utopię się w twoich łzach”. Ona się jej przestraszyła, ale wraz płakała, aż ktoś jej poradził: „Idź i posiej święconego maku na jej grób”. Poszła, posiała i na drugi dzień po tym, jak zaszła to, że na tym grobie była odcisnięta stópka jak dziecka, tak tej jej dziewczynki. I wtedy żal jej odszedł.



Często w sąsiedzkich sporach o miedzę, o drzewo, które jednemu przeszkadzało, bo zaciemniało jego ziemię i wrastało korzeniami w jego pole, a drugi nie chciał go usunąć, w złości sąsiad wykrzykiwał sąsiadowi: „Ty cholerny karczebo, wszystko byś wykarczował, bo ci ziemi za mało!”. Karczebami nazywali też takich ludzi, którzy nawet o niedzieli nie pamiętali, żeby się ubrać, umyć, ogolić. Tylko brudni, zarośnięci harowali na polu od świtu do nocy. To byli karczeby, którymi ludzie gardzili. Ale też karczebami nazywano ludzi takich, co z miejsca swego urodzenia nigdzie nie chcieli się ruszyć. Choć żyli w biedzie, w niedostatku nie godzili się na zmianę swego zamieszkania. Im najważniejsze było miejsce, gdzie się urodzili – ojcowizna. To mieli wpojęne przez rodziców, wysrane z mlekiem matki. Nawet jak byli przymusem wysiedlani, zsyłani na Sybir, jeśli tylko mogli, nazad powracali. I sami, jak karcz, wrastali w ziemię naszych pradziadów, co puszcę toporami karczowali, sieli, orali.

Ojciec w 1914 roku wyjechał z rodzicami w głąb Rosji z falą tak zwanych bieżęńców. Powrócił pieszo do Lubenki, mając osiemnaście lat. W latach powojennych dostał propozycję zatrudnienia w orkiestrze marynarki wojennej w Szczecinie z racji tego, że grał na klarnecie. Odrzucił. Matka się kłóciła, że będziemy mieli łatwiejsze życie: „Trzymasz się tych marnych zagonów jak rzep psiego ogona! Jak karczeb spróchniały w tę ziemię wrośłeś!”. Ojciec odpowiadał: „Ja Rosję wzdłuż i wszerz przejechałem i wszystko widziałem. Nigdzie się stąd nie ruszę. Tu się urodziłem i tu umrzeć muszę”. Nam, dzieciom, przykazywał: „Wszyscy na tej ziemi się nie utrzymacie, ale niech choć jedno zostanie. Nikomu nie sprzedawajcie, to zawsze na swoje będzie mogli wrócić”. Po latach i matka mówiła, jak z odwiedzin w miastach u swoich dzieci powracała, że dobrze, że ojciec nie zgodził się wyjechać, bo w obcym miejscu wypaść się dobrze nie można. „My jak karczeby tu zakorzenieni”. Dziś i ja to samo czuję i nigdzie się stąd nie ruszę. Też chyba jestem karczebą.



W 2007 roku autor książki otrzymał na projekt „Karczeby” stypendium w Programie MłODA POLSKA.

Fotografie zostały wykonane w Lubence oraz okolicznych wsiach w latach 2005–2012.

Dziękuję bohaterom zdjęć oraz osobom związanym z Lubenką, na których życzliwość i wsparcie mogłem liczyć w trakcie pracy nad książką, a w szczególności – Rafałowi Derlukiewiczowi, Feliksie i Kazimierzowi Derlukiewiczom, Kazimierzowi Kusznirowowi, Markowi Mirońskiemu i Romualdzie Grabowskiej. Specjalne podziękowania składam rodzicom, mojej babci, dziadkom, Agnieszce oraz Izabeli Wojciechowskiej, od spotkania z którą zaczęła się moja praca nad książką. Dziękuję także Ewelinie Lasocie, Rafałowi Milachowi, Ani Nałęczkiej, Andrzejowi Kramarzowi, Magdzie Gorlas, Mai Kaszkur.

Zdjęcia © Adam Pańczuk
Tekst © Kazimierz Kusznirow
Redakcja © Ewelina Lasota
Korekta © Agnieszka Barteczko

Edycja zdjęć: Rafał Milach, Adam Pańczuk, Ania Nałęczka
Skanowanie: Skanery Niewiarygodne
Projekt książki © Ania Nałęczka / Tapir Book Design
Wydawca © Adam Pańczuk

Druk: Chromapress, Piaseczno
Wydrukowane na papierze: Arctic Ivory
Oprawa: Poligrafia Bracia Szymańscy, Warszawa

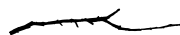
Limitowana edycja: 550 egzemplarzy, w tym 50 kolekcjonerskich

Warszawa 2013

ISBN 978-83-937417-0-0

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być kopiowana lub przetwarzana w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób, elektronicznie bądź mechanicznie, włączając fotokopie, nagrywanie lub inne nośniki informacji i bazy danych, bez uprzedniej pisemnej zgody autorów i wydawcy.







photobooks.pl

portal polskich fotoksiążek

Autor: **Adam Pańczuk**

Tytuł: **Karczeby**

Projekt realizowany przez Fundację unContemporary – uncontemporary.pl

Od grudnia 2024 publikacja dostępna na licencji **CC BY-NC-ND 4.0**
(Uznanie autorstwa-Użycie niekomercyjne-Bez utworów zależnych 4.0,
<https://creativecommons.org/licenses/by-nc-nd/4.0/deed.pl>)

Wolno ci:

Dzielenie się — kopiuj i rozpowszechniaj utwór w dowolnym medium i formie

Na następujących warunkach:

Uznanie autorstwa — Utwór należy odpowiednio oznaczyć, podać link do licencji i wskazać jeśli zostały dokonane w nim zmiany. Możesz to zrobić w dowolny, rozsądny sposób, o ile nie sugeruje to udzielania przez licencjodawcę poparcia dla Ciebie lub sposobu, w jaki wykorzystujesz ten utwór.

Użycie niekomercyjne — Nie należy wykorzystywać utworu do celów komercyjnych

Bez utworów zależnych — Remiksując, przetwarzając lub tworząc na podstawie utworu, nie wolno rozpowszechniać zmodyfikowanych treści.

photobooks.pl

portal of polish photobooks

Author: **Adam Pańczuk**

Title: **Karczeby**

Project implemented by unContemporary Foundation - uncontemporary.pl

From December 2024 publication available under **CC BY-NC-ND 4.0 license**,
(Attribution-NonCommercial-NoDerivatives 4.0,
<https://creativecommons.org/licenses/by-nc-nd/4.0/>)

You are free to:

Share — copy and redistribute the material in any medium or format

Under the following terms:

Attribution — You must give appropriate credit , provide a link to the license, and indicate if changes were made . You may do so in any reasonable manner, but not in any way that suggests the licensor endorses you or your use.

NonCommercial — You may not use the material for commercial purposes .

NoDerivatives — If you remix, transform, or build upon the material, you may not distribute the modified material.



Rzeczpospolita
Polska

Sfinansowane przez
Unię Europejską
NextGenerationEU

